

► Adam Karol Drozdowski

W drodze ku nowemu

*Ścieżka, która biegnie wzdłuż granicy, umacnia ją.
Inna, która granicę przekracza, jest ścieżką pogranicza. [...]
Jest jak most – prowadzi dalej,
ale nie można na niej budować swego domu.
U siebie w domu jest się tylko tam, skąd można odejść.¹*

Do Sejnu jechałem, jakbym wybierał się w nieznane. Owszem, słyszałem o działaniach Ośrodka Pogranicza, czytałem o jego historii, śledziłem wywiady z Krzysztofem Czyżewskim, ale wciąż nie umiałem sobie wyobrazić, co stanowi o rzeczywistym charakterze tego działania. Mając za sobą doświadczenie pracy z alternatywą, wiedząc, na jakich zasadach funkcjonują niezależne teatry w małych miejscowościach, w jaki sposób organizują swoją działalność społeczną, bez której – chcąc nie chcąc – dzisiejszy teatr alternatywny nie istnieje, przywołując wspomnienia pobytów w Gardzienicach czy wiedzę, skąd cały ten ruch wyrastał – nadal nie rozumiałem fenomenu Pogranicza.

Czy to jeszcze teatr? Gdzie jest granica między działalnością artystyczną a społeczną?

Tak, to wątpliwości, które na szeroką skalę pojawiły się w recepcji sztuk wówczas jeszcze nienazywanych performatywnymi pięć dekad temu. Ale – cóż zrobić, kiedy dla nazwania zjawiska w pierwszym odruchu szuka się kontekstów – wciąż okazują się one aktualne. I tylko z tyłu głowy pobrzmiwały mi pieśni z albumu *Wieloma językami* Karoliny Cichej i Barta Pałygi. Niby to skojarzenie bez bezpośredniego związku, choć Cicha

wywodzi się z Gardzienic, a i Sejny udzielały jej wsparcia merytorycznego, ale jej myśl z tamtej płyty wydawała mi się szczególnie celnym tropem. Cicha, z urodzenia Podlasianka, przywoływała bowiem języki, jakie słysząc było na ulicach przedwojennego Białegostoku: polski, rosyjski, tatarski, jidysz, romski, białoruski, litewski, ukraiński – a puentowała gorzko całą tę opowieść biblijnym psalmem zaśpiewanym w esperanto. Językowa utopia białostoczanina Ludwika Zamenhofa nie wystarczyła, żeby uchronić tę różnorodność przed skutkami historii XX wieku. Białystok bywa dziś ksenofobiczny nawet w relacji między greckimi a rzymskimi katolikami, mimo że ich świątynie stoją niemal po sąsiedzku.

Tak zwana ściana wschodnia jest w Polsce kotłem – w takim znaczeniu, w jakim mówiło się o „kotle bałkańskim”, chociaż – odpukać – daleko jej do napięć sprzed wojny w Jugosławii. Tu antagonizmy są raczej podskórne, wprzężone w szerokiej perspektywie w trudną politykę Europy Środkowej, w wąskiej – w sąsiedzkie niesnaski i nieprzepracowane zaszłości. Napięcia wychodzą na jaw, kiedy restauracje w Wilnie nie chcą obsługiwać turystów z Polski czy kiedy polscy prawnicy w konflikcie ukraińskim widzą szansę na odzyskanie Lwowa. „Odzyskanie” jest w ogóle słowem w tym kontekście ciekawie rozumianym. Młoda grupa teatralna Ujście z wyspy Uznam, symetrycznie po przeciwnej stronie kraju, stworzyła w zeszłym sezonie spektakl mówiący o antagonizmie Polaków i Niemców na Pomorzu Zachodnim. Polaków, którzy bronią swojego terytorium, ale od niemieckiej turystyki są uzależnieni finansowo, i Niemców

¹ Wszystkie motta cytuję za: Krzysztof Czyżewski, *Ścieżka pogranicza/ The Path Of The Borderland*, Sitka/Sejny 2013.

przyjeżdżających odwiedzić swoje niegdyś domostwa i zachowujących się wobec aktualnych mieszkańców łagodnie mówiąc po wielkopańsku.

Ziemie Odzyskane. Ziemie Utracone. Symetria.

Powojenne nazwy tych regionów zakładają, że powszechnie panuje posesywny do nich stosunek, a tak naprawdę wszystko rozbija się o jednostkową potrzebę przynależności ich mieszkańców, o głód tożsamości, która wobec narzucanych historycznymi dekretami granic utrwała się w postaci sztucznej. Granice biegną w poprzek wspólnoty, z sąsiada czyniąc figurę najeźdźcy i każąc się w nich okopywać.

Przewodnik

*Ścieżka błędzi. Nie żeby gubiła drogę.
Po prostu szukają inaczej,
odkładając już gotowe i poznane na bok.*

Piotrka poznałem już w drodze na miejsce. Traf chciał, że wybraliśmy obaj ten sam przejazd na BlaBla-Car. Zdziwił się, jak można jechać do pracy z Warszawy

do Sejna: jego wektor był przeciwny, z pracy w stolicyjechał do rodziny. Kiedy wyjaśniłem, że będę obserwował warsztaty w Ośrodku, uśmiechnął się. Sam spędził w Pograniczu z przerwami osiem lat. Tak zyskałem przewodnika – całe zresztą szczęście, bo wyjazd był wariacki, nikt w sekretariacie Ośrodka nie wiedział o moim planowanym przybyciu, a projekt *Misteria dzieciństwa*, na który wybierałem się w zastępstwie za pisującego do „Nietaktu” kolegę, odbywał się w Krasnogrudzie, we dworze należącym niegdyś do rodziny Czesława Miłosza.

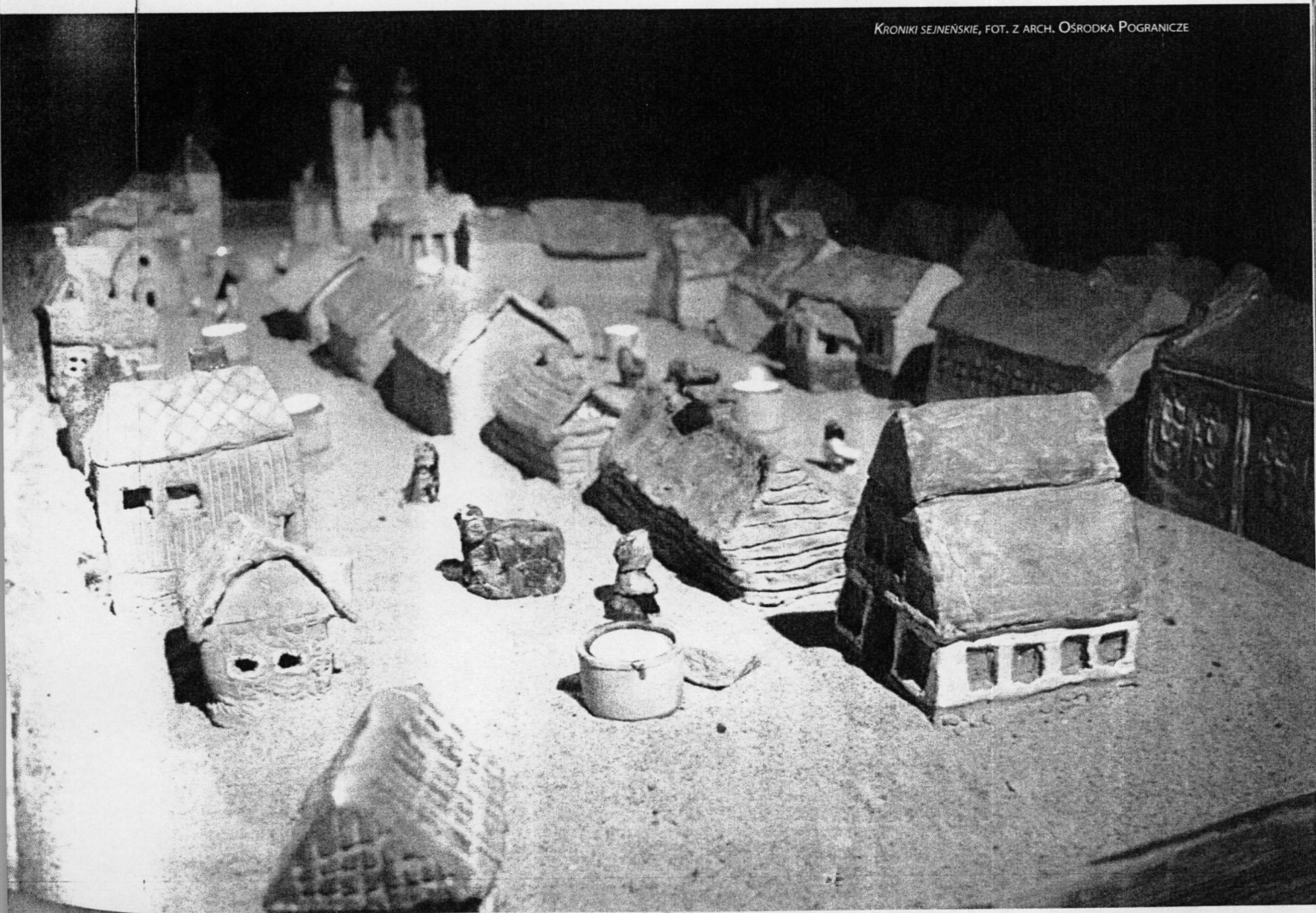
– Od pięciu lat nie byłem tu tak długo – rzucił Piotrek, kiedy po piętnastu minutach dzięki spotkaniom przez niego starym znajomym miałem już zorganizowany transport na miejsce warsztatów i kontakt z Weroniką, córką Czyżewskiego.

– Mówisz o tym kwadransie?

– Tak.

Widziałem jego mieszane uczucia. Z jednej strony przebiegł cały budynek, żeby przywitać się z pracownikami, z drugiej czuć było, że po latach odcięcia od jego działalności czuł się obco. Ze strzępów jego wspomnień łowiłem te, które mogły świadczyć o żalu, o niezgodzie na postawy, które z nie w pełni świadomym samokryty-

KRONIKI SEJNEŃSKIE, FOT. Z ARCH. OŚRODKA POGRANICZE





DOLINA ISSY, FOT. Z ARCH. OŚRODKA POGRANICZE

cyzmem Włodzimierz Staniewski określa mianem „guryzmu”. Ten kontekst tkwił we mnie szczególnie mocno, nie tylko przez rodowód Pogranicza. Umówiliśmy się na rozmowę jeszcze przed moim wyjazdem z Krasnogrudy. Kiedy Piotrek przyjechał, przerywały nam ciągle wylewne powitania z prowadzącymi projekt i wspominki z czasów budowy Międzynarodowego Centrum Dialogu, jakimi przerzucał się z Weroniką – oboje byli członkami tzw. armii krasnogrudzkiej.

– W trakcie mojej nauki w gimnazjum Wojtek [Szoeder] i Małgosia [Czyżewska] z Pogranicza przeprowadzali u mnie w szkole casting, szukali chłopców ze słuchem muzycznym – zaczął. Ta pierwsza różnica daje do myślenia: do Gardzienic się przyjeżdża, Pogranicze samo wychodzi do ludzi. – Moja przygoda zaczęła się od Kapeli, potem przechodziłem z projektu do projektu. Brałem udział w reaktywacji *Dybuka*, która ostatecznie nie doszła do skutku, potem był *Trakt krasnogrudzki*, poświęcony pamięci o Miłoszu, jego obecności tutaj; ten projekt rozwinął się w spektakl *Dolina Issy* na podstawie wspomnień Miłosza i tutejszych mieszkańców. Wszystko nieustannie było przeplatane bardzo różnicowanymi działaniami artystycznymi aż po malarstwo i rzeźbę. Potem jeszcze przed odejściem uczestniczyłem w *Lektorium sejneńskim*, projekcie edukacyjnym dla młodzieży z liceum: jako starsi koledzy dzieliłiśmy się wiedzą z młodszymi. Nic się tu nie zmieniło, o tyle że wszyscy ciągle uwijają się jak mrówki.

– Co ci dał ten czas, tak po ludzku?

– Nie chcę mówić o takich banałach, że się rozwinąłem, że wiedza, że horyzonty. To na pewno. Ale przede

wszystkim odkryłem w sobie kilka rzeczy, których bym się nie spodziewał i nie przypuszczałem, że będę miał okazję je rozwinąć. W tym zamięłowanie do akcji teatralnej. Okazało się też, że nie jestem najgorszy w muzyce. A po ludzku: zyskałem wrażliwość na sprawy artystyczne, bo potrzeba pewnej wrażliwości, żeby to rozumieć i brać w tym udział.

– A co ci zabrało Pogranicza?

– Sporo wolnego czasu i beztroskiego podejścia do życia. Lata, które tu spędziłem, spędziłem jako dorastający chłopak. Wiadomo, myśli się wtedy o imprezowaniu, traktuje życie, jakby to były wakacje. My wakacji nie mieliśmy, większość działań odbywała się w naszym czasie wolnym. Często bywało tak, że byliśmy wzywani w ostatniej chwili, bez względu na nasze osobiste plany. To wywoływało bunt. Ale też był to czas spędzony twórczo, więc z perspektywy widzę, że bilans zysków i strat jest oczywisty.

Słyszę o braku poszanowania czasu wolontariuszy i w głowie zapala mi się kontrolna lampka. Na to najbardziej narzekali znani mi adepci Akademii Praktyk Teatralnych w Gardzienicach, wielu odchodziło od Staniewskiego, mówiąc łagodnie, w niezgodzie. Chociaż prawdopodobnie była to niezgoda jednostronna: gardzienicki Europejski Ośrodek Praktyk Teatralnych jest instytucją, która musi być impregnowana na jednostkowe przypadki buntu.

– Mówisz o tym spokojnie, ale pewnie bywały i głębokie rozczarowania tym miejscem.

– Chyba nie. Nie spotkałem się z żadną trwałą traumą związaną z pobytem tutaj. Były oczywiście oso-



WMIUROWANIE KAMIENIA WĘGIELNEGO POD DOM W KRASNOGRUDZIE,
FOT. Z ARCH. OŚRODKA POGRANICZE

Dom otwarty

by, które odchodziły z żalem – kawałek życia zabierany przez Pogranicze był zabierany bezpowrotnie. Nie wszyscy odchodzili stąd z uśmiechem na ustach. Jeśli mam być szczery, podobnie jak w przypadku innych takich niezależnych ośrodków kultury mówi się, że to jest sekta. Oczywiście w przenośni, ale chodzi o poziom zaangażowania: poświęcanego czasu, energii wkładanej w to miejsce, lojalności wobec niego. To zdecydowanie jest hermetyczna, zamknięta grupa. Łatwiej tu wejść niż wyjść. Wielu z Pogranicza odchodziło, ale ci, którzy zostawali, zostawali na długo, stając się niemal rodziną. Czasem dłużej niż powinni, aż mniej mogli stąd czerpać niż dawać.

*Człowiek ustawia kamień graniczny najczęściej u zbiegu dróg.
Wyznacza w ten sposób miejsce spotkania.*

Przestrzeń domu Czyżewskich w Krasnogrudzie porządkują mosty. Kładka w kształcie kontrabasu z nabudowanymi fotelami ze starych pni, przerzucona przez oczko wodne. Kładka łącząca dwie części pękniętego w połowie budynku: prywatną i gościnną. Dziwna to architektura, ale zaskakująco harmonijna i wpisująca się w krajobraz, w rzeźbę terenu. Sąsiadów nie widać, choć mieszkają nieopodal, widzą z okien, kiedy do Czyżewskich przyjeżdżają goście, kiedy świeci się do późna. Do dworu idzie się stąd kilka minut. Niespiesznie, przez las.

Krzysztof Czyżewski przywitał mnie serdecznie, ale oficjalnie – byliśmy wszak umówieni na wywiad. Był przygotowany, wnikliwie sprawdził, jakiego rozmówcy się spodziewać, czym się zajmuje, znał tytuły jego realizowanych w alternatywie spektakli. Tyle że oczekiwał pojawienia się Jakuba, którego z nagłych przyczyn musiałem – i chciałem, ciekaw pracy Ośrodka – zastąpić. oficjalny ton zniknął, zaczęliśmy rozmawiać, jeszcze bez świadka w postaci dyktafonu, wyczuwając się nawzajem – i wynikło z tej rozmowy wiele wspólnego.

Siedzieliśmy przy herbacie z mieszanki sporządzonej przez krasnogrudzką sąsiadkę, o której Czyżewski także opowiedział w późniejszym wywiadzie, patrzyły na nas ptaki spod pędzla, pióra i grafitu Georgesa Braque'a, których pokaźna kolekcja zajmowała kilka ścian w salonie. Cały dom wypełniały pamiątki z wypraw: od dalekowschodniego wystroju gabinetu, pełniącego też funkcję pokoju herbacianego, przez gotycką europejską kapliczkę w załomie schodów po posiadającego wiedzę pokoleń ptaka Simurga z bliskiej Grotowskiemu sufickiej mitologii, który witał gości z malowanych kaflów przy wejściu. Rozmawialiśmy długo, na wywiad umówiłem się za parę dni. Pierwsze wrażenie, zgodnie z którym nawet sposób mówienia Czyżewskiego przypominał moje rozmowy ze Staniewskim, szybko minęło. Charakterystyczna intonacja znaczyła mniej od spokoju, pewności, z jakimi mówił, i faktycznej otwartości na rozmówcę. Zanotowałem jedną frazę, dotyczącą ludzi, z którymi pracuje Pogranicze: „to jest wspólnota, która wie, kiedy kłamiesz”.

Wyczulenie na fałsz, sposób myślenia, skupiony na otwartości, spotkaniu i poszukiwaniu nowych formuł pracy w oparciu o poszanowanie tradycji realizuje się tu już na poziomie architektury. Podobnie jak działka Czyżewskich, krasnogrudzki park nie jest ogrodzony. Zachowano fragment muru z bramą wjazdową, opatrzoną niewielką tabliczką z logo Międzynarodowego Centrum Dialogu, ale poza tym teren pozostaje otwarty. I znów mosty, mostki, ucieleśniające metaforykę, jaką posługuje się Pogranicze, szeroki pomost wychodzący w jezioro Hołny, który może służyć za widownię spektakli plenerowych, ziemny amfiteatr usypany przez pracowników Ośrodka. W zakamarkach między drzewami kryją się liczne instalacje plastyczne, figury ptaków, kamienne księgi. Dwór, oficyna i ptaszarnia są nie tyle odnowione, co zbudowane na nowo, zgodnie z przedwojennym rozkładem brył i pomieszczeń. Z jednej strony przywrócony został dawny charakter miejsca (nawet zmiany wpisane zostały w dawny układ – wybite okna pokoi gościnnych wykrojonych z przestrzeni strychów od zewnątrz są niewidoczne, obudowane drewnianymi żaluzjami),

z drugiej – wnętrza zaprojektowane są skromnie i nowocześnie, ich *open space*owa funkcjonalność przywodzi na myśl skandynawski design.

Centrum szczęśliwie daleko do dzisiejszej siedziby EOPT w Gardzienicach, otoczonej płotem z wykutymi inicjałami założyciela i błyszczącej marmurami. Jest prosto i bezpretensjonalnie. Chce się tu być i pracować; na warsztatowiczów zerka ze ścian Czesław Miłosz, towarzyszą im jego wiersze. – Krasnogruda jest miejscem, w którym chcemy przyjmować gości – mówi mi Weronika Czyżewska-Poncyłjusz, a na potwierdzenie jej słów mija nas grupa studentów z amerykańskich college'ów, którzy przyjechali tu poznawać historię Europy Środkowo-Wschodniej. Po chwili Weronika odbiera telefon; z wizytą zapowiedziała się minister kultury, akurat przejeżdżała nieopodal.

Planowane założenie architektoniczne MCD jest jednak znacznie szersze niż istniejący dziś kompleks. Na realizację czekają projekty kolejnych budynków, mających zamienić Krasnogrudę w tętniące życiem centrum kultury, Kultury Czynnej. – To już zadanie nie dla nas – mówi Bożena Szroeder. – Rozbudowę Centrum będą musiały zająć się następne pokolenia. To, do czego doprowadziliśmy dotychczas, było już niemal ponad nasze siły.

Faktycznie, idea rewitalizacji „miejsca Miłoszowego” była zdaje się ważniejsza od zdroworozsądkowego wyliczenia: Fundacja Pogranicze na rzecz tego projektu musiała zaciągnąć kredyty i zobowiązać się wobec Unii, że przez dekadę od zakończenia budowy Centrum nie może na siebie zarabiać. Tym niemniej aktualny stan Ośrodka jest imponujący. Na jego siedzibę składają się trzy budynki w centrum Sejn – dawna synagoga, jesziva i poczta, w których mieści się archiwum, przestrzenie wystawowe, teatralne, klubowe i cały kompleks w Krasnogrudzie; Pogranicze ma większą infrastrukturę niż gros instytucji kultury, zwłaszcza w małych miejscowościach. Czy zaufanie społeczności w taki sposób przeniosło się na zaufanie lokalnych władz?

– Jeszcze na początku lat 90. była pokusa, żeby to miejsce było po prostu fundacją, niezależną działalnością – odpowiada Weronika – ale dla tej pracy jest strasznie ważne, żeby ona była współprowadzona przez lokalną społeczność i lokalne władze. To wiele mówi o charakterze naszego działania. Dlatego powstał Ośrodek jako miejsce bardzo mocno związane z regionem. Równocześnie istnieje też Fundacja, wciąż niezależna, i to Fundacja pozyskała fundusze na odbudowę Krasnogrudy i prowadzi tu działania. To ma być miejsce osobne, miejsce skupionej pracy, innej niż codzienne działania Ośrodka w Sejnach.



DWÓR W KRASNOGRUDZIE, FOT. Z ARCH. OŚRODKA POGRANICZE

Walka o marzenie

*Ziemia zapisana jest ścieżkami.
Są jak zmarszczki na twarzy starego człowieka.*

– Krasnogruda to jest miejsce, które mamy w dzierzawie od Lasów Państwowych od około 2005 roku. Zanim w ogóle myśleliśmy o odbudowaniu tego miejsca, zależało nam na obecności tutaj – opowiada Weronika Czyżewska-Poncyliusz. – Ja byłam w polsko-litewskiej grupie młodych ludzi z Sejnu i z okolicznych wiosek, którzy w większości mieli doświadczenie działania w różnych projektach Pogranicza, *Kronik sejneńskich*, Kapeli Klezmerskiej. W takim składzie przyjeżdżaliśmy do Krasnogrudy i gospodarzyliśmy tu przez pięć lat. Kiedy przyjechaliśmy po raz pierwszy, to miejsce było bardzo zniszczone, warunki do życia trudne, nie było wody ani prądu – stąd może wzięło się określenie „armia krasnogrudzka”. Żeby móc tutaj zamieszkać na czas wakacji i zorganizować sobie pracę, trzeba było nie lada wysiłku. Ale mieliśmy wspólne marzenie, żeby Krasnogrudzie nadać nowe życie.

– Zaczęliśmy zbierać jak najwięcej informacji o tym miejscu: wspomnienia Miłosza, historyczne dokumenty. Pojechaliśmy do Sopotu, gdzie ciągle mieszkają ludzie spokrewnieni z rodziną Miłosza. A przede wszystkim spotykaliśmy się z ludźmi z okolicznych wiosek, dla któ-

rych kiedyś Krasnogruda była bardzo ważnym miejscem. Wielu z nich pracowało tu przed wojną, wielu wychowywało się tu jako dzieci, dopiero długo po wojnie to miejsce zaczęło obumierać. Ale kiedy o nie pytaliśmy, okazywało się, że ludzie wciąż bardzo dużo pamiętają i to jest dobra pamięć.

– Najwięcej wspomnień i historii zebraliśmy od starszych ludzi. Szczególnie na wsi starość to jest taki moment, w którym człowiek znajduje się na uboczu życia. Bardzo często okazywało się, że ani dzieci tych ludzi, ani ich wnuki tych historii nie znają. Nasze pojawienie się tutaj było okazją, żeby oni mogli się tymi wspomnieniami podzielić nie tylko z nami, ale i ze swoimi rodzinami. Krasnogruda leży kilometr, dwa od ich domów, wiąże się ze wspomnieniami pierwszych miłości, pierwszych prac – ale okazji, żeby tu przyjść, wcześniej nie mieli. To była wielka radość, kiedy na nowo zaczęli przychodzić do Krasnogrudy, oprowadzać nas po tym miejscu. Nas interesowało wszystko, począwszy od tego, jak wyglądał rozkład pokoi – dwór został przebudowany w latach 60., więc znaleźliśmy już zupełnie inną przestrzeń. Pytaliśmy o park, o członków rodziny – wszystkie te opowieści zbieraliśmy do tzw. Kufra krasnogrudzkiego. Później pracowaliśmy nad tym podczas warsztatów plastycznych, muzycznych, teatralnych. Wprowadziliśmy tradycję Biesiad krasnogrudzkich: w każdą sobotę zapra-

szaliśmy ludzi z Sejn i okolicznych wsi, pokazyaliśmy, że w Krasnogrudzie coś nowego się dzieje. W rok po śmierci Miłosza zorganizowaliśmy pierwszą Biesiadę Miłoszową, która odbywa się do dziś, zawsze 14 sierpnia.

– Pojawiało się też wielu turystów, którzy zwiedzali Suwalszczyznę na rowerach, a w przewodnikach widniało jedno zdanie, że gdzieś tu stał dwór należący do rodziny Miłosza. Oni tu przyjeżdżali, spodziewając się, że zastaną pustą ruinę, a byliśmy tu my. Wielu wracało co roku, żeby dowiedzieć się, jak nam idzie przywracanie tego miejsca do życia. Wielu dzieliło to nasze marzenie, chociaż na początku sądzili, że taka grupka młodych ludzi, na dodatek zajmujących się teatrem, nie będzie w stanie przeprowadzić budowy. Pamiętam, że w pewnym momencie zaczął nam przeciekać dach. Chłopcy napędce weszli na górę, na dach, żeby zakryć tę dziurę. Wtedy przyszedli do nas ludzie, żeby nam powiedzieć – bardzo delikatnie – że podoba im się idea odbudowy Krasnogrudy, ale to nie jest dobry pomysł, żeby remont zaczynać od dachu. Nie było łatwo przekonać ich, że się do tego nadajemy.

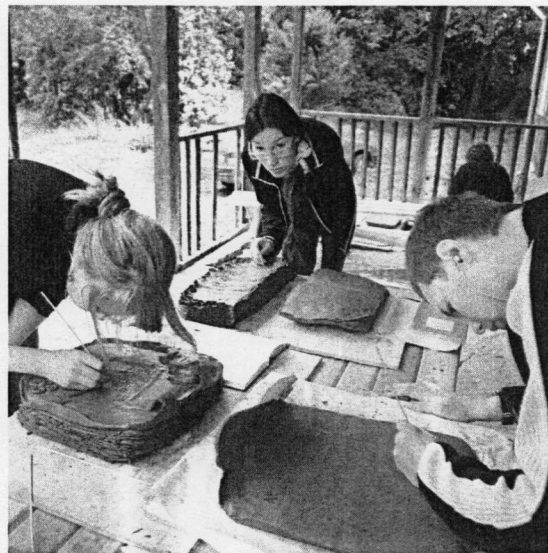
– Jeśli chodzi o armię krasnogrudzką, oczywiście rozjechaliśmy się potem po świecie, ale wielu z nas wciąż tu jest i działa, czy to w pracy muzycznej, teatralnej, czy – jak ja – edukacyjnej.

Budowanie dialogu

*Kultura zamknięta tworzy się niepostrzeżenie.
Łudzą się ci, którzy wierzą, że póki nie słyszą trzaśnięcia,
póty bramy ich świata są otwarte.*

Warsztaty w Krasnogrudzie, na które trafiłem, odbywały się w czasie największej antyislamskiej nagonki, związanej z kolejną falą uchodźców z Syrii. Polski Internet huczał, kipiał nienawiścią, otwierał na powitanie Arabów bramy i komory Auschwitz, skutecznie zagłuszając rozważne głosy i nie zero-jedynkowe opinie. W dniu rozmowy ze mną Czyżewski co i rusz odbierał telefony z prośbami o komentarz do nadspodziewanie ostrego artykułu Jana Tomasza Grossa, na który powoływały się dzienniki w całej Europie. Irytował się, że przez tak jednoznaczny krytykę polskich postaw dużo dobrej pracy na rzecz dialogu zostało nieodpowiedzialnie zaprzepaszczone. Wcześniejsza głośniejsza książka Grossa *Sąsiedzi* została wydana właśnie przez Pogranicze.

Tymczasem we dworze czas płynął innym rytmem, jakby pogarszająca się atmosfera w Unii nie dotyczyła przestrzeni MCD. Dwie grupy młodzieży – polska i ukraińska – pracowały nad animacjami przywołującymi ob-



TRAKT KRASNUGRUDZKI, FOT. Z ARCH. OŚRODKA POGRANICZE

razy z dzieciństwa. W rozmowach uczestnicy opowiadali sobie o zapamiętanych smakach, zapachach, przytaczali anegdoty i koszmary sennie, przypominali sobie gry, recytowali wyliczniki, śpiewali kołysanki – zarówno z własnego dzieciństwa, jak i zasłyszane od rodziców i dziadków. Wiele z tych doświadczeń okazywało się podobne – ulubione potrawy, zakazane zabawy, melodie piosenek i rymowanek. Wiele było wzajemnym zaskoczeniem, zetknięciem z obcą kulturą. I trudno powiedzieć, czy bardziej zaskakujące były dla nich różnice, czy raczej podobieństwa. Tym niemniej *Misteria dzieciństwa* stawały się misterium rzeczywistego spotkania.

Na bazie tak zebranego materiału zaczęła się praktyczna praca. Z opowieści powstać miały m.in. poklatkowe filmy animowane i księga pamiątkowa. Grupy przemieszczały się od pracowni plastycznej, w której powstawały szkice, tła, postaci, przez studio, w którym wszystko składano w gotowe kadry, po salę, w której projektowana była księga, powielana potem klasycznymi technikami. Sam zostałem zaproszony do stołu, dostałem dłuta, płat linoleum i – wyjątkowo – temat, bo do zaplanowanej kompozycji brakowało martwej natury. Dłubiąc kształt jabłka, podpytywałem uczestniczkę z Polski w wieku gimnazjalnym o przebieg warsztatów, o jej wcześniejszy udział w projektach Pogranicza, o charakter tych działań. Brała udział w kilku i zastanawiała się nad dołączeniem do kolejnych. Zapytała, co tu robię. Wyjaśniłem.

– Zostając krytykiem teatralnym, nie spodziewałem się, że będę w ramach swojej pracy siedział na wsi i robił linoryty – rzuciłem na koniec półzartem. Pół, bo

faktycznie się nie spodziewałem, ale ogromnie mi się to podobało.

– Ja się nie spodziewałam, że kiedykolwiek będę rozmawiać z takimi – odparła całkowicie poważnie, zakreślając głową nieregularny okrąg.

Z takimi „Czy chcesz, żeby tacy wychowywali twoje dziecko?” – pytają transparenty aktywistów utożsamiających homoseksualizm z pedofilią. Tacy to wygodne, bo zarazem pogardliwe i niedopowiedziane określenie każdej zbiorowości Innych, Obcych, tych, których się boimy, bo ich nie znamy, reagujemy więc programową niechęcią. Dla gimnazjalistki z Sejnu takimi byli dotąd z jakiegoś powodu Ukraińcy. Piszę „z jakiegoś powodu”, bo nie umiem tej przyczyny zrozumieć. Logiczniejsze wydawałoby się, gdyby takimi byli Litwini, których na Suwalszczyźnie pełno, czy Białorusini, pilnie strzegący nieodległych reżimowych granic; nie Ukraińcy, ani żyjący po sąsiedzku, ani wrodzy sejneńskim Polakom. Ale widocznie wszystkie nacje zza wschodniej granicy nauczono nas wrzucać do jednego ksenofobicznego worka, tak jak wszyscy muzułmanie, zgodnie z medialną nagonką tego czasu, to terroryści, dżamajscy i gwałciciele.

Nie rozumiem tego sposobu myślenia i nie wątpię, że nie rozumieją go też prowadzący Pogranicze. Ważne, że są go świadomi i znajdują metody, żeby sobie z nim radzić. Z każdym dniem warsztatów w oczach mojej rozmówczynie tacy stawali się coraz bardziej konkretnymi osobami. Rówieśnikami o podobnych wspomnieniach, wrażliwościach, z którymi można się konfrontować we wspólnej pracy, ludźmi, z którymi da się porozmawiać także w czasie wolnym. Nawet na poziomie tej jednej, jednostkowej zmiany Międzynarodowe Centrum Dialogu wywiązało się z odpowiedzialności, jaką nakłada na nie szumnie brzmiąca nazwa. A może zwłaszcza na tym poziomie – tego typu zmiany nie zachodzą wszak od razu globalnie.

Własna ścieżka

*Ścieżka nie jest „o” i „wobec”. Biegnie.
Jest czynieniem, czyli nieprzerwanym ciągiem małych kroków.*

Mit założycielski Pogranicza o rozwiązaniu teatru na rzecz powstania Ośrodka nie jest tylko mitem – tejsze działania faktycznie skupione są na szczerym i pokornym kontakcie z ludźmi. Nie są obliczone na medialny efekt, projektowe rozliczenia czy zwykłe PR-owskie budowanie marki. Dlatego pewnie jechałem tam, nie mając pojęcia, z czym się spotkam, a znane mi konteksty

okazały się nie przystawać do rzeczywistości; podobieństwa chociażby z Gardzienicami są wyłącznie powierzchowne. Łatwo mierzyć jedną miarą niezależne grupy sytuujące się poza głównymi szlakami kulturalnych peregrynacji, zarówno w rozumieniu geograficznym, jak i metaforycznym, ale o ich charakterze świadczą przede wszystkim subtelne różnice, których nie sposób dostrzec, nie będąc świadkiem pracy na miejscu. Warto zajrzeć do Sejnu czy Krasnogrudy lub chociażby dotrzeć do filmów podsumowujących projekty Pogranicza – wynika z nich jasno, że nadrzędną ich wartością są jednostkowe, głębokie spotkania.

– Jestem przekonany, że bez Ośrodka bardzo wielu mieszkańców Sejnu nigdy nie liźnęłoby nawet w najmniejszym stopniu innych kultur, z którymi tak naprawdę są płot w płot – mówi Piotrek. – Brak dziś świadomości, że przed wojną cały ten region był bardzo zróżnicowany kulturowo, a dzięki działaniom Pogranicza te rzeczy są odkrywane. To jest cenne. Zauważyłem, że jest wielu stałych bywalców w Pograniczu, widzów, którzy bardzo to doceniają – ich też to rozwija. Nie wspominam o tym, ile dzieciaków przewinęło się przez Pogranicze i miało kontakt z kulturą niepojmowaną szkolnie.

Ośrodek Pogranicze jest osobnym zjawiskiem na mapie kultury; splatają się w jego działalności wpływy doświadczeń Laboratorium, teatrów alternatywnych, projektów społecznych i akademickich, ale równocześnie żaden z tych rodowodów nie przeważa. Pogranicze wypracowało własny język, własne metody współdziałania ze społecznością, ale też nie zatrzymało się na gotowych rozwiązaniach – formuły pracy zmieniają się tu na bieżąco, dopasowując się do rozwoju procesu, który Ośrodek zapoczątkował ćwierć wieku temu. Procesu sprzeciwiającego się kulturze bezrefleksyjnego przyjmowania cudzych opinii, autopromocyjnego krzykactwa czy dyskusji niezakładających wysłuchania rozmówcy. Czyżewski nazywa to, do czego Pogranicze dąży, umiejętnością budowania dialogu. I jest to precyzyjne określenie braku, który należy przewyciężyć.

Każdemu przydałaby się taka umiejętność.